

## Ярослав Зволінскій

Вродил ся 31 грудня 1929 р. в родині православного дяка во Фльоринці. Вчыл ся в ріднім селі а пак в Учительській Семінарії в Креници. Выселений в 1947 р. на західні землі през пару років вчыл ся на ріжных професийных курсах, а в 1950 р. остал принятий до Православной Духовной Семінарії в Варшаві. Не зачне навет науки, бо остал покликаний до войска і скеруваний до робочых баталійонів. Звільнений з войска в 1953 р. працювал в Паньствовій Інспекції Гандльовій найперше в Суленціні, по році в Шпротаві, а од 1955 р в воевідскым інспектораті в Зеленой Горі. Рокы 1955-1960 то час великого заангажуваня Ярослава в громадско-політычну діяльнїст в напрямі повернїня Лемків на рідны землі і поправлїня їх долі. Тоты діяня в зеленогірській групі Лемків закінчыли ся сильном інтервенційом офіційных чынників. В ефекті того Ярослав Зволінскій нашол ся в Кошаліні і в "Воєвідсым Звязку Спудзельчосці Працы" остае шефом продукції промыслу легкого на обшыр цілого воевідства. В роках 1960-1970 пошырят свої професийны кваліфікації: кінчыт Одежове Технікум, 2-літне Студіум Економічне і 2-літне Студіум Економікы Гандлю. За свою долголїтню і барз ефективну керівничу працу отримал вельо одзначынь і нагорід.

В 1986 р. закладат Ярослав Зволінскій родину. В 1989 р. входить в склад Заложытельского Заряду Стоваришыня Лемків і зас вертат до громадской роботы. По переході на пенсію в 1990 р. імат за перо і публикуе кожде два, три рокы книжку. Дебютуе в 1991 р. збірком верши *Знакы часу*, а потім публикуе спомины *Rapsodia dla Łemków* (Koszalin 1994), том документів і фактографічных нарисів *Łemkowie w obronie własnej* (Koszalin 1996), монографію *Florynka - nasze село* (Koszalin 1999) (во спілавторстві з Ярославом Мереном), документальну реляцію *Bataliony Robocze w Ludowym Wojsku Polskim* (Koszalin 2001). В 1995 р. остал принятий до Związku Literatów Polskich. Вмер 7 червця 2002 р. в Кошаліні.

### **Rapsodia dla Łemków**

(Урывкы)

Печатат ся за: J. Zwoliński, *Rapsodia dla Łemków*, Koszalin 1994

### NASZA WIEŚ FLORYNKA (lata 1945-1947)

Po pięcioletniej okupacji i przeżyciu wielkiego strachu, że we wsi rozegra się front, teraz, po ucieczce Niemców i wkroczeniu „bez wojny” Rosjan, nastąpiło ogromne odprężenie. Powoli mijała zima, zbliżał się marzec, a wraz z nim upragniona wiosna. Na tych terenach, gdy tylko stopnieje śnieg w dolinach i trochę obeschnie ziemia, bardzo szybko przeobraża się przyroda. Kilka cieplejszych dni sprawia, że od razu pojawia się trawa i liście. Wezbrane rzeki i szum górskich strumyków w przedziwny sposób wpływają na ustrój nerwowy człowieka i pobudzają jego aktywność. Już wczesną wiosną gospodarze zaczęli zasypywać okopy, ogromne rowy, ażeby zorać i cokolwiek zasiał na zniszczonej ziemi Nie było to takie proste. Ziemia z wykopów była rozsypana, a teraz trzeba było bardzo starannie ją zbierać, żeby starczyło na zasypianie rowów. Wykorzystywano każdy kawałek ziemi, bo tutaj ją bardzo szanowano i nigdy nie było jej za dużo.

Życie na wsi stawało się z dnia na dzień inne, jakby wieś narodziła się od nowa. Ludzie tacy życzliwi, pokorni, spokojni i zamyśleni. Każdy myślał, jak to będzie dalej. Niedługo jednak trwała ta spokojna cisza. Jeszcze nie rozpoczęto na dobre prac polowych, a już we wsi pojawiło się trzech oficerów radzieckich, nazywanych przez mieszkańców komisarzami albo enkawudzistami. Zwołali we wsi zebranie i oświadczyli, że przyjechali do wsi z misją, ażeby powiadomić, że kto chce, może wraz z rodziną i całym dobytkiem wyjechać do Rosji Trudno tutaj opisać, jak zachowywali się ci enkawudziści, co wyczyniali,

jaki zasiali postrach. Wspomnę tylko, że z Florynki wyjechały do Rosji 43 rodziny (podaję to z pamięci). Enkawudziści zmusili również do wyjazdu do Rosji prawosławnego księdza, bardzo szanowanego Piotra Taranowskiego. Wkrótce przysłano nowego księdza. We wsi pozostało 196 rodzin. Po zakończeniu tej przesiedleńczej kampanii, życie na wsi odzyskało dawną atmosferę.

Z przymusowych robót w Niemczech zaczęła wracać floryncka młodzież. Ci chłopcy i dziewczęta byli jacyś inni, nowsi, inaczej myślący, lepiej ubrani, inaczej uczesani. Choć pracowali w bardzo ciężkich warunkach, w fabrykach i na gospodarstwach, widzieli i wiedzieli dużo więcej od młodych, którzy całą wojnę spędzili w domu. Od razu próbował w gospodarstwach rodziców wprowadzać trochę nowości. Inaczej orali pole, nie robili wielu brzd, odnawiali mieszkania, przerabiali izdebki na pokoje, stawiali nowe płoty. Była to znacząca i licząca się grupa młodych chłopców i dziewcząt z wielu znanych, dobrych rodzin i wielkich rodów, jak od Haburów, Dubców, Majczaków, Uczkowców, Ciołków i innych. To właśnie ci młodzi ludzie (około 40 osób) byli duchem i motorem poczynań całej wsi, a — co ciekawe — zostali w pełni zaakceptowani przez młodzież, która całą wojnę przesiedziała w domu.

Życie na wsi zaczęło kwitnąć. Lato 1945 roku było bardzo ciepłe. Wieczorami, jak to było dawniej w zwyczaju, dorosła młodzież zbierała się obok domów. Siadali lub opierali się o drewniane płoty, rozmawiali, żartowali, opowiadali o swoich przygodach i przeżyciach. Widać i czuć było — całym ciałem, sercem i duchem — radość młodych, ich entuzjazm, zdolność do cieszenia się sobą. Są znów u siebie, są razem. Zaczęto organizować potańcówki w soboty albo w niedziele po południu. Nawet tu przejawiał się prym tych młodych ludzi, którzy widzieli świat. Tańczyli tango, albo też angielskiego walca — tańce, których tu przecież nie znano. Wiejska orkiestra, w której pierwsze skrzypce grał Felymon Kaniuczok, a drugie Fecio Serafin, do tego jeszcze inne drugie skrzypce (sekundowe) i kontrabas, grała z wielką ochotą. W niezupełnie wykończonym, świeżo budowanym domu strażackim, urządzono dużą świetlicę i tu właśnie organizowano wiejskie zabawy.

Ludziom, którzy nie znają wsi i jej ducha, trudno zrozumieć radość i uczuciowe przywiązanie do atmosfery, jaką wieś tworzy swoim życiem. Doceniają to ludzie, którzy urodzili się na wsi, wychowali i przeżyli swoją młodość. Taką atmosferę tworzyła Florynka na początku swojego odrodzenia latem 1945 roku i taka pozostanie na zawsze w mojej pamięci. Do końca życia nie zapomnę piosenek śpiewanych „na głosy” do późnej nocy przez chłopców z Florynki. Wysokie tenory Wania Małyniaka i Wasyla Koziara z barytonami Teofila Dubca i Sandra Dubca w bardzo melodyjnej piosence nie dadzą się zapomnieć. Słowa tej piosenki były takie:

Rad bym tebe diwczynońko, rad bym wziął  
Chto nam bude lebediata zahaniał,  
Bile piria to parybska parada  
Krow czerwona, to diwoczaja krasa.

Myślę, że niejednemu florynczaninowi te piękne piosenki, śpiewane z radością i sercem, pozostały na długo w pamięci. Jeżeli Aleksander i Teofil Dubec przeczytają te wspomnienia, niech wiedzą, że już wtedy tworzona przez nich atmosfera i ukazywane piękno, kształtowały moją łemkowską duszę, przywiązanie do naszej odrębności i tożsamości łemkowskiej. Walczyłem o nie przez wiele lat, stawiałem czoła wszelkim przeciwnościom dążącym do wyniszczenia Łemków. Ach, moi Łemkowie, ten ruski ród i prosty lud, jak oni pięknie śpiewają również w swoich cerkwiach. Chce się nie tylko słuchać, ale i płakać. Ileż kultura ludowa w swej istocie ma piękna a ileż w swej prostocie dostojeństwa. Ileż w tych naszych Łemkach, kiedy się ubiorą po swojemu i zaśpiewają, jest prostego i uderzającego piękna.

W takiej atmosferze zablizniały się pomału rany wojenne po tych, którzy nie wrócili z

obozu w Oświęcimiu: Wasyl Dubec, Grzegorz Wilczacki i inni. Oczekiwano na tych, którzy — zaraz po wkroczeniu armii radzieckiej na tereny Łemkowszczyzny — zostali niby jako ochotnicy wcieleni do ruskiego wojska i nie było wiadomo, co się z nimi stało. Przychodziły też pierwsze, chociaż bardzo skromne wieści od rodzin, które wyjechały do Związku Radzieckiego. Wieści te ludzie przekazywali na różne sposoby. Był to albo urwany koniuszek kartki, albo jakiś inny umówiony znak, albo list tak napisany, że umawiający się wiedzieli o co chodzi. Według tak przekazywanych wiadomości w Rosji (dokąd wyjechali Łemkowie) był straszny głód. Przychodziły też pierwsze listy od rodzin zamieszkałych w Ameryce.

Życie na wsi stawało się coraz ciekawsze, weselsze, chociaż plony w 1945 roku zapowiadały się dość skromnie. Nie nawożona ziemia, poryta okopami, skąpe zapasy ziarna siewnego, brak siły pociągowej, nie gwarantowały dostatku. Odczuwało się jednak wielką chęć mieszkańców wsi do życia i działania. Wśród młodzieży potworzyły się już pierwsze sympatie, toteż zapowiadały się pierwsze wesela, o których mówiła cała wieś. Najgłośniej było o weselu Semana Koziara z dużego i dobrego gospodarstwa, kawalera uchodzącego za bogacza i drugiego albo trzeciego amanta, stanowiącego dobrą partię dla każdej panny. Jakże było głośno, gdy wyszło na jaw, że Seman chce się ożenić z bardzo piękną dziewczyną, która powróciła z przymusowych robót w Niemczech - Marysią Ciołką. Pochodziła ona z wielodzietnej, niezamożnej rodziny. Cała wieś była zaskoczona tym, że kawaler tak bogaty chce wziąć za żonę pannę bez posagu. Nie obyło się to bez niezadowolenia rodziców Semana. Przecież znani i szanowani we wsi Aleksy i Afia Koziarowie widzieli świat. Swoje gospodarstwo postawili na nogi dzięki temu, że na zmianę jeździli na dorobek do Ameryki. Seman postawił jednak na swoim i jako pierwszy kawaler we wsi złamał (istniejący nie tylko na Łemkowszczyźnie) zwyczaj, że bogaty kawaler musi szukać panny z bogatego domu. Było to oznaką, że nadchodzą nowe czasy.

To wydarzenie młodzież ze wsi przyjęła bardzo ciepło, z wielką przychylnością dla Semana. (...)

#### WYSIEDLENIE (czerwiec 1947)

(...) Otaczająca nas przyroda jest najpiękniejsza w czerwcu. W górach maj i czerwiec - to miesiące nasilonej wegetacji zbóż i innych roślin, którym sprzyja ciepła ziemia. Oglądali gospodarze, jak rosną zboża. Z dumą spoglądali na starannie obsiane pola. Ze środka wsi widać było jak na dłoni wschodnie pagórki, tam "za Białą" jak i dalej na "stupach", pola pod "kiczyrką", czy "diłom" a najwyraźniej tu przy samej drodze, od granic wsi Kąclowa aż po dom starego nauczyciela Jancura. Spokojną wieś jednak coś gnębiło (...) Po 15 czerwca we wsi ponownie pojawiło się wojsko. I znowu zakwaterowali na greckokatolickiej plebanii. Kilka razy przejeżdżali przez wieś ciężarowym samochodem i rzucali lub rozdawali ulotki. Wynikało z nich, że ludność całego Podkarpacia będzie przymusowo wysiedlona na Ziemię Zachodnie za to, że na tych terenach grasują oddziały UPA i zastrzelony został generał Świerczewski. Ta wersja o "grasowaniu band UPA" była nam wmawiana jeszcze przez wiele lat (...)

We wsi zapanowała atmosfera strachu i wyczekiwania. Na kilka dni przed mającym nastąpić "sądem ostatecznym", w samo południe pojawił się w naszym domu oficer z trzema żołnierzami. Zapytał mojego ojca, jak się nazywa oraz czy jest Polakiem czy Łemkiem? Ojciec - niczego nie podejrzewając - odpowiedział, że jest Łemkiem. W tym momencie został mocno uderzony w twarz. Nie zachwiał się, bo był to chłop o wzroście 184 centymetrów, dobrze zbudowany, a za sobą miał służbę wojskową w pułku podhalańskim. Tu w domu ojca spotkali się: przedwojenny podoficer-podhalańczyk i nowy oficer, niby tego samego polskiego wojska. W jakże dziwnych i odmiennych okolicznościach. Nie wiem, jak dalej zachowałby się pan oficer, gdyby nie to, że na podwórku przed domem pojawiła się druga grupa, taka sama czwórka ze starszym stopniem oficerem. Ten, który był w naszym domu,

szybko wyszedł i zameldował: "Obywatelu kapitanie, oficer Zderkowski kontynuuje akcję". Nie wiem, czy to było prawdziwe nazwisko tego oficera, czy tylko pseudonim. Wiem natomiast i doskonale pamiętam, że tak samo zachowywali się żandarmi z policji hitlerowskiej, kiedy szukali w naszym domu ukrytego kawałka słoniny albo schowanego ziarna. Oficer polski nosił na szyi czerwoną apaszkę. Jego zachowanie w naszym domu zrobiło na mnie straszne wrażenie. Kiedy w przyszłości usilnie namawiano mnie do szkoły oficerskiej, nigdy tam nie wstąpiłem. Cały czas miałem wówczas przed oczami tę scenę z udziałem oficera w czerwonej apaszcze, rozegraną w moim rodzinnym domu. Pozostał bardzo głęboki uraz. (...)

29 czerwca 1947 roku z krzykiem i hałasem wygoniono gospodarzy z ich własnych domów z tym, co zdążyli umieścić na wozach. Pod konwojem wojska ustawiono wszystkich w dużą kolumnę na głównej drodze wiodącej z Krynicy do Grybowa.

Jak ogromne wrażenie robi na człowieku głośny płacz dzieci, kobiet, pokrzykiwanie konwojujących, ryk bydła - jaki to straszny widok. O godzinie 10<sup>00</sup> rano tego dnia ruszyła kolumna wozów i przywiązanego do nich bydła, idących obok ludzi, a bokami drogi uzbrojonych żołnierzy. To widok, którego zapomnieć nie można. (...)

A ludzie w kolumnie zamyśleni, zapłakani, mało ze sobą rozmawiali. Szli jak na skazanie. A może to jeszcze nie koniec świata, może to tylko rok, dwa i znów wrócą na swoje. Gnani jednak falą akcji "W" ("Wisła"), zbliżali się powoli do granic Grybowa. (...)

Powoli ruszył w nieznaną kolejny transport z Łemkami. Następnie ładowano po nas. Na samą wieś Florynkę trzeba było trzech transportów. Na stacji w Grybowie ładowano ludzi z okolic nawet Krynicy. Być może dlatego, ażeby takiego "exodusu" nie pokazywać wczasowiczom. Bądź co bądź był to widok szokujący. Całe wsie wypędzane pod konwojem wojska. W tym transporcie wieźli 48 rodzin, a nawet całe rody: Haburów, Koziarów, Worhaczów, Majczaków, Dubców, Merenów.

Nikt nie wiedział dokąd jedzie, ani jak długa będzie podróż. Transport, składający się z około trzydziestu wagonów, ciągnięty przez jedną a popychany przez drugą lokomotywę, powoli oddala się od łemkowskiej ojcowizny.

Zaczęło świtać, gdy transport powoli przesunął się przez stację kolejową w Nowym Sączu. Za Nowym Sączem sapiące lokomotywy z wielkim trudem pokonywały każde wzniesienie. Podczas tej powolnej jazdy, jakiś mundurowy (konwojent), który miał chyba tutaj rodzinę albo znajomych, zaczął zrzucać z wagonów na pola obok torów, koła od wozów, sprzęt rolniczy, a nawet całe półwozia. Ta przedziwna "zabawa" była prowadzona na dość długim odcinku trasy kolejowej. Wreszcie po którymś, siódmym czy ósmym dniu podróży, transport dotarł do stacji kolejowej w Sulęcinie. Był to pierwszy etap tej morderczej drogi od własnego, pradziadowego domu, z własnej ziemi - do ziemi obcej, chociaż obie należały do jednego państwa polskiego.

Do końca czerwca 1947 roku opustoszały łemkowskie wsie, odjechały ostatnie transporty. Wraz z ostatnim transportem zamknięto okres dziejów, wyrwano kartkę - czas pokaże czy ostatnią - z historii narodu i jego kultury. Z historii ludu, który mieszkał tu przez setki lat. Czy na zawsze? Nie da się zniszczyć, zmazać wszystkiego, co tworzone było przez wieki. Można zniszczyć człowieka, ale nie można zniszczyć ogromnego dorobku materialnego. Pozostało przecież po Łemkach tyle cerkwi, cmentarzy z kamiennymi krzyżami, przydrożnych kapliczek i krzyży, śladów odrębności kulturowej w budownictwie, tyle milczących świadków kultury Łemków. Trzeba wielu lat, by to zniszczyć, spopielić, ale i trzeba mieć rozum bardzo mały, intelekt bardzo płytki, żeby to niszczyć. (...)

NOWA ZIEMIA

Po siedmiu dniach podróży w wagonach towarowych, razem z bydłem, często z trzodą chlewną i domowym ptactwem, dowieziono nas do stacji końcowej. Nasze spotkanie z nową ziemią nastąpiło na stacji kolejowej w niewielkim miasteczku - Sulęcinnie. (...)

Zasiedlono nami różne folwarki, gdzie nie było ani Boga ani ludzi. Mówiono na stacji w Sulęcinnie: PNZ - taki i taki - folwark: taki i taki. I tak jedziemy powoli na wyznaczony nam folwark.(...)

Jechaliśmy przez jakąś nie zaludnioną wieś o nazwie Wiśniów czy Treśniów. Wieś była zupełnie pusta, jakieś baraki, kilka domów bez ludzi. Ostrzeżono nas, że tu nie wolno się zatrzymywać, bo wszystko jest zaminowane. Mocno grzało lipcowe słońce, zmęczone były i zwierzęta i ludzie. Zatrzymaliśmy się w zupełnie pustej, dużej wsi o niemieckiej nazwie Malkendorf (została potem Malutkowem). Dziwna była to wieś. Tyle murowanych zabudowań, a wszystko puste. Dowiedzieliśmy się, że wieś jest także zaminowana, a naokoło jest wojskowy poligon. Jakże to wszystko było dla nas niezrozumiałe. Starsi bardzo uważnie obserwowali to, co napotykaliliśmy po drodze. Zresztą wszystko było tu inne, inny świat. Duże wsie i same murowane domy, obszerne obejścia gospodarcze, inne drogi, inna zieleń, dużo nie zaoranego i nie obsianego pola, a w niektórych miejscach ogromne łąny zbóż, żyta i pszenicy.

Ludzie urodzeni i wychowani na wsi, rolnicy z dziada pradziada lubią i szanują ziemię, żywią dla niej kult. Na wiosnę łemkowski rolnik pod pierwszą skibę przyorywał jajko i bochen chleba. (...) Czy tutaj też zapanują takie zwyczaje? Spoglądali gospodarze łemkowscy na tę nie zaoraną ziemię i obliczali, ile z tego może być chleba. Jeszcze nie bardzo zdawali sobie sprawę z tego, że tę ziemię trzeba inaczej uprawiać, inaczej orać, inaczej siać ziarno, inaczej zbierać plony. Z tak dużą ilością ziemi nie można rozmawiać i pielęgnować jej tak, jak tamte małe zagony w rodzinnej łemkowskiej wsi.

Dojechaliśmy wreszcie do małego miasteczka o nazwie Łągów. Tu pozostawiono kilka rodzin, kilka następnych skierowano do folwarku Teresin. Naszym przeznaczeniem był majątek Państwowych Nieruchomości Ziemskich w Żelechowie, wsi oddalonej od Łągowa o kilka kilometrów. Dotarliśmy tam wieczorem w składzie ośmiu rodzin. Ulokowano nas w dwóch domach. Przy domach były jakieś komórki na bydło. Wszystkie pomieszczenia mocno zdewastowane. Trzeba było powstawić drzwi, okna, naprawić piece, żeby coś można było ugotować. Najważniejsze, że po tej długiej podróży odpocznie bydło. Każda rodzina miała po kilka sztuk krów, koni, wołów. Przez dwa dni doprowadzono mieszkanie do porządku, poutykano sprzęt rolniczy i wozy. Po zabudowaniach wiejskich było widać, że jest to wieś duża i bogata. Ogromne budynki gospodarcze, duże domy, stodoły, nie widać pustych domów poza tymi majątkowymi, gdzie nas ulokowano. Wiemy już, gdzie możemy paść bydło, gdzie kosić trawę. Wszystko to szło naszym ludziom jakby działali po omacku. Byli jak oszołomieni.

Na trzeci czy czwarty dzień musieli się wszyscy stawić o szóstej rano na podwórku majątku. Tu spisano jeszcze raz osoby z każdej rodziny, wszystkich zdolnych do pracy i stan posiadania (sprzęt rolniczy, konie, krowy, woły).

Miejscowi osadnicy bardzo dokładnie obserwowali tych «nowych», próbowali nawiązać rozmowy, podpytywali. Dowiedzieliśmy się, że ich też uprzedzono, że przywozi się tu Ukraińców z akcji „W”. My już też wiedzieliśmy, że są to repatrianci zza Buga, gdzieś z Łucka na Wołyniu, chociaż o tym Wołyniu nikt z Łemków nie słyszał. Po takich zdawkowych rozmowach i tak już wiedzieliśmy, że my wszyscy — łącznie z małymi dziećmi — lepiej od nich mówimy po polsku. Oni używali jakiegoś „chachłackiego”, trudno dla nas zrozumiałego języka z miękkim „ł”. Polacy to są, czy nie? Nie wiedzieliśmy.

Jak było przykazane, następnego dnia (bo pierwszego kazano nam obejrzeć całe gospodarstwo), punktualnie o szóstej jakiś dyżurny podzwonił dzwonkiem zawieszonym na gałęzi drzewa i zebrali się wszyscy robotnicy majątkowi i wszyscy zdolni do pracy

Łemkowie. Następował rozdział pracy. Gruby, czerwony na twarzy dyrektor majątku porozdzielał ludzi: ten do stajni do koni, ten do stolarni, do warsztatu, kuźni, obory i tak aż do ostatniego robotnika. Grupa Łemków liczyła 19 osób, a ludzi majątkowych było nieco mniej. Dalsze dyspozycje dyrektora dla Łemków brzmiały: „Przyjechaliście tutaj do pracy w majątku. Na roli się znacie. Zbliżają się żniwa, będziemy kosić zboże. Mamy mało sprzętu i ludzi do pracy”. Mówił jeszcze coś więcej. Takie to było pierwsze spotkanie rolników, ludzi wolnych, z dyrektorem wielkiego majątku ziemskiego, również rolnikiem, gospodarzem wielkiej posiadłości państwowej. Była to pierwsza od wielu dni rozmowa o gospodarstwie i o roli, o potrzebie koszenia żyta. Dyrektor wygłosił inne pouczenia; jakie prawa obowiązują w majątku, zwyczaje, dyscyplina i jak płaci się za pracę. Była też taka zapowiedź, że w majątku musimy zostać przez rok. Nigdzie nam stąd nie wolno wyjechać bez zgody czy to dyrektora, czy innych władz. Przyjęli Łemkowie tę mowę z nisko opuszczonymi głowami. Teraz potwierdziło się to, czego do tej pory nikt nam oficjalnie nie powiedział: wysiedlenie przymusowe, karne. Ludzi zapędzono do majątku jak do obozu, oddano pod milicyjny nadzór. Rozeszli się wszyscy w zamyśleniu do przydzielonej pracy, lecz jak było widać, nie przejęli się aż tak bardzo gadaniem dyrektora. Tymczasem żniwa zbliżały się w bardzo szybkim tempie. Dyrektor zarządził wydanie dla każdej rodziny po kilka kilogramów mąki i kaszy. W rodzinnych stronach ten okres — to najtrudniejszy przednówek, może tu będzie lżej.

Następnego dnia dzwonek zadzwonił znów o szóstej rano. Wszyscy stawili się punktualnie. Ten dzwonek o szóstej rano stał się z czasem głównym powodem do ucieczki na swoje łemkowskich rolników, obecnie robotników na majątku. Chociaż Łemkowie są bardzo pracowici i wytrwali i nieobca im jest ciężka praca, to jednak stawianie się na podwórku majątku o szóstej rano pod dzwonkiem zawieszonym na gałęzi drzewa, było ogromnym poniżeniem. Na swoim wstawali o czwartej rano, kładli się spać o dwudziestej trzeciej, ale tam nie było dzwonka. Taka jest mentalność chyba wszystkich ludzi wolnych, nie akceptujących przymusu, taka jest mentalność rolnika, pana na swoim.

Zaraz za Żelechowem rozciągały się ogromne pola, ogromne łany żyta. Myśleli Łemkowie, jak to wszystko zebrać, skosić, wymłócić, pozbierać ze ścierniska kłoski. Dość trudno było to zrozumieć ludziom, którzy nigdy nie widzieli tak ogromnych pól obsianych żytem.

W majątku było kilka par koni, jakiejś dziwnej rasy, ogromnych, ciężkich, z dużymi kopytami. Taki koń u nas, w górach, nie wytrzymałby nawet tygodnia i zjadłby całe gospodarstwo razem ze ścianami. Były też trzy traktory na żelaznych kolczastych kołach z napisem z przodu „Lanz-Bulldog”. Majątek liczył około dwóch tysięcy hektarów pola, ludzi niewiele. Były te — Łemków gospodarzy — ręce bardzo potrzebne. Tylko, czy władza nie mogła skrzyknąć młodych ludzi na roboty i zapłacić? Czy trzeba było rozwalać całą Łemkowszczyznę, żeby zasilić państwowe majątki?

Któregoś dnia dyrektor zapowiedział, że po niedzieli zaczynamy koszenie żyta. Praca na roli to przecież specjalność ludzi gór. Przygotowali swoje kosy, sierpy i czekali, aż rozpocznie się koszenie i aż dyrektor wskaże im, gdzie mają kosić. I zaczęło się. Wczesnym rankiem wyszli na wskazane pole. Ogromny obszar dorodnego żyta. Zabrali ze sobą jedzenie, dzieci, jakby na jakąś wyprawę. Nareszcie będą robić przy zbożu, pracować przy „chlebie”. Zaczynają. Do pokosu staje pierwszy mężczyzna, a był to młody, dobrze zbudowany chłopak, chyba Jarek Kapuściański, a za nim kobieta do podbierania. Potem następny i następna kobieta i tak aż do ostatniej pary. Tak koszone zboże na Łemkowszczyźnie, ale tam każda rodzina pracowała w mniejszym składzie na swoim, na małych zagonach. Tu wszyscy naraz dla jednego gospodarza.

Jakiż przecudowny to widok, kiedy kilkunastu mężczyzn tnę kosami żdźbła żyta, a za nimi podbieraczki zbierają pokos i układają w snopy. Za nimi następna grupa wiąże te snopki

powrótami robionymi na poczekaniu z tego samego snopka. Przed południem przyjechał na pole swoją dwukołową bryczką dyrektor majątku. Długi czas nie schodził z bryczki i patrzył, patrzył. Nie mógł się napatrzeć na dziwnych zniwiarzy. Nie pamiętam jego nazwiska, lecz był to na pewno człowiek wykształcony, o czym świadczyło jego zachowanie i mowa. Może pamiętał takie obrazki z opisów w literaturze. Po dłuższej obserwacji wysiadł z bryczki, porozmawiał z ludźmi, pochwalił i obiecał dostarczyć czarną, zbożową kawę. Podchodzili też gospodarze ze wsi popatrzeć na majątkowe pole, na którym Łemkowie koszą zboże. Może ten widok przypominał im rodzinne strony, gdzieś na Wołyniu, a może tęsknili za swoim tak, jak my. Jakiś lepszy nastrój zapanował podczas śniadania, nawet jakąś piosenkę zanucili i zaśpiewali pięknie. Dziwni to ludzie, ci Łemkowie, są szczęśliwi kiedy pracują po swojemu.

Po pierwszym dniu koszenia wszyscy czuli zmęczenie. Drugi dzień był trudniejszy. Bolały ręce, plecy. Pokos był już nie tak szeroki, a tu jeszcze tyle do koszenia. Widział to dyrektor i powiedział: „Trzeba naprawić stare kosiarki, zaprzęgnąć po cztery konie, również wasze konie i kosić kosiarkami”. Tak też się stało. Rozpoczęło się koszenie maszynami. Zgrzytało, skrzypiało, hałasowało, ale jakoś kosiło i to szybciej niż kosami. Teraz wszyscy wiązali snopy i od razu stawiali małe kopki. Było to pierwsze spotkanie ludzi, gospodarzy z gór, z taką techniką koszenia zboża. Jedno, co im się nie podobało, to zmarnowane kłosy.

Po kilku dniach pracy zarówno mieszkańcy wsi — gospodarze, jak i dyrektor majątku i jego pracownicy, nabrali ogromnego szacunku dla Łemków za ich pracowitość i zaradność.

Na tych ziemiach wszyscy wszystkiego się uczyli. Uczyli się szczególnie repatrianci z Buga, ale uczyli się też Łemkowie, bo nie byli przyzwyczajeni do takich przestrzeni. Tu nie pasował górski, drewniany wóz łemkowskiego gospodarza, jak też jeszcze bardziej nie pasował drewniany, zabugowski wóz z „dugą”. Musieli się uczyć wszyscy od wszystkich. Najłatwiej radzili sobie poznaniacy. Ich równiny są podobne do wielkich obszarów pól, jakie są tutaj.

Dzwonek w majątku dzwonił każdego ranka. Widziałem, jak zawsze denerwował Kapuścińskiego, mojego ojca i innych.

Po całodzienniej, ciężkiej robocie w żniwa, każda rodzina żyła swoim życiem, bo trzeba było jeszcze zadbać o swoją chudobę, przypilnować, czy konie nakarmione, pomyśleć o paszy dla bydła na zimę. Było tyle roboty, że niewiele czasu zostawało dorosłym na wspólne biesiady. Tylko dzieci przynosiły z podwórek coraz to ciekawsze wieści. Tu ich wyzowano banderowcami, tam znów inne dzieci bały się naszych, a z innymi nie mogły się dogadać. My też odczuwaliśmy ogromny dystans mieszkańców wsi wobec naszej społeczności. Wieczorem zamykali bramy, nie wdawali się w żadne rozmowy, jakbyśmy byli zarażeni tyfusem. To był tyfus wszczepiony nam przez władzę — „Ukraińcy z akcji »W«”. Robotnicy majątkowi byli mało rozmowni. Byli to przeważnie poznaniacy, a jakaś akcja „W” była i dla nich czarną magią. Dyrektor majątku rzadko rozmawiał z naszymi ludźmi, bo robotę każdego dnia rozdzielał brygadzysta. Ustalono, że bydło naszych gospodarzy będzie paszał jeden człowiek wyznaczony przez naszych, ale będzie to ten, który nie może ciężko pracować. Wyznaczyli więc Łemkowie Fecia Maksymczaka z uwagi na jego wątłe zdrowie i podeszły wiek. W tym czasie przydawały się każde ręce. Poszukiwany i bardzo potrzebny był każdy fach, czy to stolarz, kowal, czy ślusarz. Inaczej, to zasiane na wiosnę 1947 roku zboże (może przez wojsko), nie byłoby zebrane. Kto zbiera zboże z naszych łemkowskich pól? Często zastanawiał się nad tym mój ojciec.

Wiedzieliśmy już, gdzie nas przywieziono i co nas czeka w najbliższym czasie. Zaczęliśmy tęsknić za swoimi. Na razie, po tych kilkunastu dniach nic nie wiedzieliśmy o naszych florynczanach, których skierowano do innych miejscowości, a już zupełnie nic nie wiedzieliśmy o florynczanach z pozostałych transportów, którzy pozostali na stacji w Grybowie. Wydawało się, że stąd jest wszędzie strasznie daleko, że chyba się stąd nigdy nie wydostaniemy.

## ODNAJDYWANIE WŁASNEJ TOŻSAMOŚCI

W majątku widzieliśmy, jak dość dokładnie nas obserwują. Nie wiedzieliśmy, kto jest pracownikiem biura, a kto urzędnikiem z UB. W naszej grupie, w Żelechowie, było trochę młodzieży. Młodzi zaczęli się kręcić, jakby odwiedzić tych w Łagowie i w najbliższych folwarkach. Była niedziela. Kilku ruszyło pieszo do Łagowa. Wrócili wieczorem, uradowani choć zmęczeni. W następną niedzielę — do innego majątku. Po jakimś czasie odwiedzają nas w Żelechowie. Teraz już wiemy o prawie całym naszym transporcie. Ileż to radości, uciechy. Są. Żyją. Po tych kilku spotkaniach młodzież nabrała śmiałości. Nikt nas po drodze nie legitymował i nie zatrzymywał. Uzgadniamy, że w następną niedzielę pójdziemy do Jarnatowa, a w następną — do Wielowśi. Młodzież zaczyna medytować, czym jechać. Końmi za daleko. Bardzo pilnie potrzebne są rowery. W niedługim czasie młodzież łemkowska w sobie znany sposób zorganizowała rowery i teraz w każdą niedzielę ruszono na odnajdywanie Łemków. Po drodze, w różnych wsiach dowiadywano się, że w tej czy tamtej wsi również mieszkają ludzie z akcji „W”, chociaż mówiono również: banderowcy z akcji „W”. W taki sposób w ciągu zniw odnaleźliśmy cały transport wyładowany w Sulęcinnie, a przy okazji odkryliśmy, że w Buczu są hanczowanie, w Lubrzy — klinkiwczanie.

Łemkowska młodzież bardzo chciała być ze sobą, a tak niewiele czasu miała dla siebie. Przejazd dwudziestu czy trzydziestu kilometrów starym rowerem, który często trzeba było pchać, a potem powrót tyleż kilometrów, nie pozostawiał zbyt wiele czasu na cieszenie się sobą. Zbierali się w czyimś domu, gospodarz częstował czym mógł, a nieraz trzeba było obczęstować i kilkanaście osób. W taki oto sposób młodzież odnajdywała swoje więzi z wspólnotą łemkowska, rozproszoną po folwarkach, majątkach, skazaną na wymarcie. Nie jest przesadą powiedzenie „na wymarcie”. Kiedy przyjeżdżaliśmy rowerami nieraz do najbardziej odludnych miejsc, gdzie w dużym zdewastowanym budynku mieszkały po dwie rodziny łemkowskie i kiedy nieraz widziałem, jak na nasz widok nawet kilkunastu młodych ludzi reagowało głośnym płaczem, myślałem jak barbarzyński to był pomysł, aby nas wysiedlić i skazać na takie warunki. Nie daliśmy za wygraną. Odszukanie się i wzajemne odwiedziny Łemków podtrzymywały nas mocno na duchu.

Gdzie tylko byliśmy, wszyscy pytali, czy u was nie ma miejsca, żeby nas było więcej. Takie same pytania padały z naszej strony. Ilu was jest? Gdzie jeszcze są nasi ludzie? Skąd pochodzą? Przejężdżaliśmy przez wsie i miasteczka i obserwowaliśmy, gdzie są wolne domy, czy tu nie ma już naszych, czy nie można by tu się osiedlić?

Bardzo szybko minęło lato i jesień 1947 roku. Po zniwach zaczęli Łemkowie myśleć, jak tu przez zimę utrzymać swoje bydło, jak je wykarmić. Poproszono dyrektora majątku o pozwolenie na koszenie rozmaitych nieużytków. W taki sposób zabezpieczono paszę dla własnego bydła. Rozpoczął się rok szkolny. Do szkoły poszły wszystkie łemkowskie dzieci. Minął już pierwszy szok, powoli zaczęliśmy się przyzwyczajać do tutejszego klimatu, który Łemkom absolutnie nie sprzyjał. Ojciec ciągle mawiał: „Co za zgniłe powietrze”. Ojcowie nasi coraz częściej myśleli o pójściu na jakieś gospodarstwo, o pójściu „na swoje”. Jesienią 1947 roku mieliśmy już pierwsze wiadomości, że dwie lub trzy rodziny osiedliły się w małym miasteczku o nazwie Toruń Lubuski. Nikogo nie trzeba było namawiać, żeby czym prędzej tam pojechać i zobaczyć, czy można coś znaleźć, co nadawałoby się do zamieszkania i kawałek jakiejś stajni dla chudoby.

Dość mocną stroną łemkowskich gospodarzy było to, że mieli własne bydło i konie, a więc czuli się gospodarzami. Łemko, odwieczny rolnik, nie wytrzyma bez własnego gospodarstwa. Prawie wszyscy florynczanie, którzy byli w państwowych majątkach i na folwarkach myśleli, jak się stąd wyrwać, ażeby na wiosnę być już na swoim.

W Toruniu Lubuskim (obecnie Torzym) było dużo wolnych domów, gdzie mogły się pomieścić nasze rodziny. Na wiosnę 1948 roku, za zgodą dyrektorów PNZ (a czasem i bez ich



zgody, czy czyjegokolwiek zezwolenia) osiedliło się w Torzymiu, nawet w bardzo zdewastowanych budynkach, kilka rodzin. Byli tam: Antoni Habura, Michał Dubec, Aleksander Junak, Seman Merena i Petro Dubec. Wieś poszła po całym powiecie sulęcińskim, że są tam jeszcze jakieś rudery do remontu. Do końca 1948 roku było w Torzymiu 15 rodzin łemkowskich. Natomiast na wiosnę 1949 roku było nas już 21 rodzin i nie tylko samych florynczan, bo była i rodzina Tyliszczaków ze Złockiego i rodzina Ropickich z Astrabika.

Łemkowie zagospodarowali wszystkie rudery. Bywało i tak, że stajnia była przy innej ulicy niż mieszkanie, a stodoła przy jeszcze innej. Aleksander Junak mieszkał przy ul. Krośnieńskiej na drugim piętrze, tam przygotowywał jedzenie dla kilku świniaczków i nosił je do chlewików daleko, na podwórku. Władek Zwoliński swoje bydło trzymał na innej ulicy, a z jeszcze innej nosił paszę.

Wiedzieliśmy, że drugi transport mieszkańców Florynki odjechał z Grybowa w dwa dni po nas, również w wagonach towarowych, ale także w kilku odkrytych węglarkach. Nawet w takich wagonach znajdowali się ludzie i dorobek ich życia. Drugi transport zatrzymał się na stacji w Nowej Soli. Stąd również popędzono ludzi ze swoim dobytkiem do wsi Stany i Lipiny, gdzie były jeszcze wolne gospodarstwa, lecz strasznie zdewastowane. Wolne pozostały dlatego, że w tych wsiach 70 procent areалу uprawnego — to ziemia szóstej klasy, nieurodzajne piaski Oprócz Stanów i Lipin, pojedyncze rodziny pozostawiono również w innych wsiach: w Jeziernej (Seman Koziar), w Jodłowie (Jan Majczak).

Trzeci transport florynczan wyładowano na stacji kolejowej w Rokitkach. Tym rodzinom wskazano wieś Michałów. Właściwie trudno to nazwać wsią i trudno to opisać. Jest to obszar o powierzchni gminy, zalesiony, podmokły, bagnisty, trudno dostępny, o bardzo rozrzuconych i oddalonych od siebie, pojedynczych zabudowaniach gospodarczych. Z przybywających na te tereny wcześniej osadników zza Buga, nikt w te pustkowia się nie zapuścił. Teren był pusty i odstraszący. Łemkowie jednak nie mieli wyboru. Musieli tu zostać.

Dla ówczesnej władzy było to zbawienie, bo za jednym pociągnięciem rozwiązano dwie kwestie. Pierwsza, to zasiedlenie pustych terenów, a druga — to zapakowanie Łemków w niedostępne obszary i ich ogromne rozproszenie. W powiatach: legnickim, szprotawskim, głogowskim, kożuchowskim, osiedlono już wcześniej Łemków z innych wsi (Muszynka, Słotwiny, Binczarowa, Brunary, Śnietnica, Stawisza). Dezintegracja tej społeczności miała nastąpić poprzez uniemożliwienie spotykania się, mówienia własnym językiem, kultywowania obyczajów, odprawiania nabożeństw w swoich cerkwiach. Jednym słowem: dezintegracja poprzez całkowitą asymilację. Wszystkich osiedlano na takich samych zasadach: po kilka rodzin w jednej miejscowości. Wiele, wiele lat później również się okazało, że te odległości dla Łemków nie są aż takie straszne i nie do pokonania. Utworzyły się trzy ośrodki — skupiska florynczan, do których dołączały i inne wsie, również rozproszone w woj. wrocławskim i poznańskim.(...)

Pozbawienie ludności łemkowskiej wszelkich praw w pierwszych latach ich osiedlenia na Ziemiach Zachodnich, było nakazem partyjnym, realizowanym przez UB i milicję. Ażeby naród ten pognębić do końca, wyjaśniano sąsiadom, że: „Ci przybysze to bandyci Ukraińcy i należy na nich bardzo uważać, bo są niebezpiecznymi przestępcami”. Dzisiaj wiadomo, że każda łemkowska wieś miała swego „opiekuna” z UB. A ileż to razy sąsiedzi opowiadali, jak byli nastawiani przeciwko nam.

W Torzymiu, po osiedleniu się kilkunastu rodzin w 1948 roku, wzmocniono posterunek milicji. Dotychczas było dwóch milicjantów teraz było już czterech.

Osiedlenie się Łemków w Torzymiu miało duży wpływ na ożywienie tego miasteczka. Zorganizowano Gminną Spółdzielnię, sklepy, magazyny zbożowe, uruchomiono tartak,

rozpoczęto odgruzowywanie miasta. Ugory były orane już nie na pół drewnianymi pługami, które Łemkowie przywieźli ze sobą, lecz pługami żelaznymi.

Rodziny łemkowskie, osiedlone w Torzymiu, stanowiły już jakąś zbiorowość. Było nas około 85 osób. Łemkowie są z natury religijni. Tutaj nie mogli żyć bez swojej cerkwi bez względu na to, czy byli prawosławni, czy grekokatolicy. W górach mieli nawet po dwie cerkwie: prawosławną i grekokatolicką. Tu nie mieli nic. Grekokatolicy jakoś pojedynczo, później coraz śmielej, szli do kościoła rzymskokatolickiego. Prawosławni mieli większe opory wewnętrzne. Skrzyknęli się, uradzili, że w Torzymiu na poniemieckim cmentarzu jest mała kapliczka, z której można zrobić kapliczkę na wzór cerkiewny. Powiedzieli wójtowi, że będą się tam modlić. Wójtem był starszy pan zza Buga. Nazywał się Woliński, przedwojenny urzędnik, dość przychylnie do nas nastawiony.

Kapliczkę szybko wyremontowano. Z domów przyniesiono obrazy przywiezione z Florynki. Tak powstała mała świątynia na podobieństwo małej cerkiewki. Wszystko byłoby dobrze, tylko skąd wziąć księdza. Łemkowie śpiewać potrafią, tylko trzeba prawosławnego księdza. Napisałiśmy do Warszawy. I oto pewnej niedzieli przyjechał jakiś urzędnik, który przedstawił się, że jest księdzem prawosławnym, a przysłał go Metropolita. Chciałby zobaczyć cerkiew, bo nie wierzy, że jest. Pokazaliśmy kapliczkę. Wszedł, zbladł, zaniemówił, chyba zapomniał, jak należy się przeżegnać - jakby przeżył jakiś szok. Nareszcie uklęknął przed obrazami, zapalił kilka świeczek. Uklękli wszyscy i zapanowała cisza. Po milczącej ceremonii wszyscy wstali i dopiero zaczęła się rozmowa. Ustalono, że ksiądz przyjedzie za dwa tygodnie, bo dzisiaj nie ma niczego do odprawienia nabożeństwa. Nie pamiętam nazwiska tego pierwszego księdza i do tej sprawy wkrótce powrócę. Tym bardziej, że człowiek ten, osoba duchowna, uciekł gdzieś z łagrów syberyjskich i zatrzymał się w Słubicach, gdzie pracował jako robotnik leśny — nie wytrzymał napięcia i życia bez cerkwi. Coś jednak w tej wierze jest?

Przyjechał nasz ksiądz za dwa tygodnie. Przywiózł co mógł, szaty, kielich i krzyżyk trzyramienny, prawosławny. Zebrało się dużo ludzi, bo wieść poszła na okolicę, że w Torzymiu będzie Prawosławna Służba Boża. Na długo przed rozpoczęciem nabożeństwa oczekiwali już ludzie. Przyjechali, czym kto mógł, nawet z odległości czterdziestu kilometrów (z Glisna, Wielowski, z Łagowa i wielu innych). Rozpoczęła się Służba Boża, a wraz z nią szloch i płacz. Było dwóch żaków z dawnej Florynki — tęgie głosy — Andrzeja Zwolińskiego i Stefana Mereny oraz piękne głosy żeńskie dawnych floryneckich chórzystek — Marii Zwolińskiej, Warwarki, Tacy Dubec, Juhaski Habury. Wstrząsnęły one każdym człowiekiem, każdą łemkowską duszą, choćby była nie wiem jak twarda. Żyjemy, śpiewamy po swojemu „Hospody pomyłuj”, a na koniec Służby Bożej piękne „Mnohaja lita”.

Na poniemieckim cmentarzu w małej kapliczce odbyło się pierwsze wielkie zgromadzenie Łemków — florynczan. Modlono się i śpiewano po swojemu, jak dawniej na swojej ziemi we Florynce. Chociaż ta pierwsza Służba Boża nie wypadła tak, jak w cerkwi ze względu na tremę księdza i trochę inny jego akcent, to nasza wartość duchowa ogromnie wzrosła. Łemkowie poczuli, że żyją swoją wiarą. Nie było też dla nikogo zaskoczeniem, że do cerkwi przyszedli również florynczanie-grekokatolicy. (...)

Po zakończeniu nabożeństwa prawdziwe zebranie rozpoczęło się przed kapliczką. Przywitaniom, uściskom, uciechom i radości nie było końca. Żal było się rozstawać, szczególnie młodzieży, która po prostu pragnęła być ze sobą. Potem zaproszenia. Poproszono na obiad księdza. Tak zaczęła się ponowna integracja, czyli ponowne budowanie wspólnoty na obczyźnie.

Świętowano ten dzień bardzo uroczyście. Odwaga Łemków poszła w górę. W następne dni oczekiwano reakcji mieszkańców Torzymia na nasze wydarzenia. Oczekiwano również na reakcję władz powiatowych. Nie stało się nic szczególnego. Społeczność polska w Torzymiu po prostu nas zaakceptowała, zaakceptowała „Łemków, co modlą się na

cmentarzu", a nie „Ukraińców". Wójt powiedział: „Bardzo pięknie śpiewacie". Myślę, że nieraz słuchał cerkiewnego śpiewu, bo pochodził — jak mówił — z Wołynia, z Trembowli. Władze powiatu nawet się nie odezwały.

Od tego czasu istniały w Torzymiu dwie społeczności: polska — katolicka i łemkowska — prawosławna. Jak się potem okazało, naszego śpiewu cerkiewnego słuchało całe miasto. Najgorzej było z księdzem katolickim, który nie mógł przeżyć, że pozwolono na „coś takiego".

W niedługim czasie zemścił się w haniebnym sposób. Kiedy zmarła Eufemia Merena z domu Gojdycz, ksiądz katolicki nie pozwolił pochować jej na cmentarzu urządzonym dla katolików. Pochowali Łemkowie swoją wierną za płotem nowego, katolickiego cmentarza. I tak rozpoczął się podział na dusze: lepsze miały być katolickie, a gorsze - za płotem — prawosławne. Eufemia Merena pochodziła z dobrej i bogatej rodziny. Mieli we Florynce nowy dom na Bołcarkach w sąsiedztwie Petra Cieśli i dość ładne gospodarstwo. Mieli też sporą gromadkę dzieci Ojciec Eufemii, stary Gojdycz, był we Florynce zasłużony dla cerkwi prawosławnej. Może ksiądz o tym wiedział?